



Bożenna Wójcik

część II z III

Sygnatura notacji: **N1594**

Data urodzenia: **10.01.1949 r.**

Data nagrania: **23.09.2021 r.**

Miejsce nagrania: **Centrala IPN, Warszawa, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Tomasz Sikorski**

Czas nagrania: **część I: 65 min, część II: 80 min, część III: 19 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Bożenna Wójcik: W momencie, kiedy moja mama wyszła z Poznania tego 2 czy 3 września, to babcia moja została w domu sama, bo już była wdową. Miała w domu chorą matkę leżącą, czyli to moją prababcię i psa. I babcia, starsza córka była w Warszawie, bo po wyjściu w lipcu 1939 roku za mąż, pojechała do Warszawy, bo tutaj jej mąż dostał pracę w Banku PKO. On był ekonomistą. Był ekonomistą, studiował u profesora Tylora i był... jego przyjaciółmi i również tymi studentami profesora Tylora był pan Zdzisław Jeziorański, czyli Jan Nowak Jeziorański, jak to się wspólnie mówi, ale to był jego bliski przyjaciel i pan Waławac Micuta, który był potem w batalionie „Zośka” w powstaniu i dowodził czołgami, które zdobywały Gęsiówkę. Więc to byli tacy przyjaciele mamy szwagra, ale on był ekonomistą, dostał pracę w Banku PKO tutaj w Warszawie i oni wyjechali do Warszawy. Obaj mamy bracia byli zmobilizowani, byli w wojsku. Babcia została sama. Natomiast w październiku 1939 roku ją Niemcy wysiedlili. Ponieważ te wysiedlenia się zaczęły w którymś momencie w Poznaniu, jako osobę, która była z Galicji, czyli z Małopolski, to Niemcy wysiedlali. Ponieważ wiadomo było, że jej matka absolutnie nie przeżyje żadnej wywózki, to sąsiedzi Wielkopolskie pomogli załatwić, żeby prababcię oddać do takiego dobrego kupieckiego domu opieki. No i w ostatnim momencie babcia już była sama w domu. No i w końcu października 1939 roku ją wysiedlili. To jej peregrynacje to są też niesamowite, ale w ostateczności znalazła się w Krakowie. A ta mojej mamy starsza siostra też po ucieczce, bo oni z mężem wyszli też w ramach tego rozkazu Umiastowskiego z Warszawy. Zrobili dużą wędrówkę dookoła Polski i w ostateczności też znaleźli się w Krakowie. I mamy szwagier został mianowany pierwszym komendantem Szarych Szeregów na Polskę Południową. To chyba było w listopadzie 1939 roku. I do pierwszej wyspy gdzieś na wiosnę prowadził Szary Szereg z Krakowa. Natomiast po tej wyspie ukrywał się poza Krakowem. Pracował dla takiej organizacji SPOŁEM, głównie w Świętokrzyskim, na Lubelszczyźnie. A do Krakowa tylko wpadał na krótkie momenty. A moja babcia

z tą starszą córką i potem już z tą malutką wnuczką mieszkali w Krakowie razem. Ale jak się wojna skończyła, to babcia natychmiast pojechała do Poznania. Dom moich dziadków to była część z bliźniaka na Sołacz w Poznaniu. Jak babcia się tam zjawiła, to się okazało, że dom jest pełen tak zwanych dzikich lokatorów. Z pomocą milicji ówczesnej udało się, że babci przyznano prawo do jednego pokoju, dawnej dziadka biblioteki, żeby mogła w ogóle mieszkać w tym domu. Ale stosunki były tam bardzo ciężkie. Ci lokatorzy wybiegali z siekierą, z nożem do niej. Ciągłe mieli o coś do niej pretensje. I mojej mamy siostra, która po wojnie z mężem znalazła się w Łodzi, potem w Warszawie, to wszystko szło jakby za pracą wujka. Natomiast jeździła i starała się wspierać matkę. Natomiast doszła do wniosku, że to w ogóle się nie da tak żyć. I kiedy moja mama wracała, to jej starsza siostra przyjechała do Gdyni i odbierała ją ze statku, i powiedziała jej, że nie jedziesz do Poznania, jedziesz do nas, do Warszawy. I wtedy jej dopiero wytłumaczyła, jaka jest sytuacja w Poznaniu, że to po prostu jest niemożliwe. Że tam jest taka atmosfera w tym domu, że po prostu to nie może. I że ona już próbuje załatwić, żeby babcię ściągnąć do Warszawy. Bo to już jest kwestia bezpieczeństwa. I rzeczywiście, cioci udało się sprzedać ten dom z całą tą, bym powiedziała, menażerią dzikich lokatorów. Kupił jakiś kupiec, który od razu jedną rodzinę wyprowadził do swojego mieszkania. A potem po pewnym czasie, wiemy, bo to były rzadkie, ale były jeszcze kontakty, udało mu się w jakieś inne miejsce wyprowadzić jakąś kolejną rodzinę. Oczywiście takie sprzedanie domu było za grosze, bo jak się sprzedaje dom „z inwentarzem”, to trudno. I za te pieniądze, które babcia dostała, wykupiła tu w Warszawie 10-letni czynsz wynajęcia mieszkania na Mokotowie w małej kamienicy, która była bardzo mocno zrujnowana w czasie wojny, głównie chyba w czasie powstania. To było bardzo blisko szpitala elżbietanek, który jest przy Goszczyńskiego, kiedy był ostrzeliwany szpital. I właściciel tego małej kamienicy zbierał pieniądze od przyszłych lokatorów i za te pieniądze on ten dom wyremontował, bo ten dom był w dużym stopniu zrujnowany. Babcia kupiła ten 10-letni czynsz. Odmieszkałyśmy go i wtedy moja mama, już wtedy ze mną, zamieszkała z babcią w tym mieszkaniu. To była taka malutka uliczka Szarotki między Tyniecką a Krasieńskiego. Tam przemieszkałyśmy 10 lat, po czym żeśmy się przenieśli do Śródmieścia. Mama się wcześniej zapisała do takiej spółdzielni, dzięki czemu to było możliwe. Natomiast problem się zaczął w Warszawie dla mamy z pracą, bo ona oczywiście chciała pójść uczyć w szkole, bo jej się wydawało, że ona przede wszystkim się do tego nadaje. Natomiast okazało się, że jej papiery są tak... dziś można by powiedzieć, trefne, że jej nie pozwolono uczyć ani w szkole podstawowej, ani w średniej, ani na uniwersytecie. Przez prawie 3 lata nie mogła dostać żadnej posady i utrzymywała się z tego, że jej przyjaciele ze studiów przedwojennych brali na siebie, my to dzisiaj nazywamy „prace zlecone”. Wtedy podobno tego jakoś określenia się nie używało, jakoś inaczej to oni nazywali, ja tego nie pamiętam. Że brali na siebie pewne prace o charakterze redakcyjnym, o charakterze tłumaczeń, o charakterze jakichś opracowań z dziedzin przyrodniczych, co było zgodne z mamy wykształceniem. Brali pieniądze, a potem jej oddawali. Ona robiła te prace, a oni brali pieniądze i potem jej oddawali. Dzięki temu się utrzymywała. Największe zasługi tutaj miał taki Antos [Antoni Filutowicz]. On był przyjacielem ze studiów rolniczych, potem był profesorem w Bydgoszczy. Natomiast... może mi wyjdzie z głowy. W każdym razie w ten sposób się utrzymywała. Po pewnym czasie komuś z tych przyjaciół, z tych studiów rolniczych udało się pomóc jej w załatwieniu pierwszej pracy oficjalnej na etacie. Dostała pracę w Państwowym Wydawnictwie Rolniczym i Leśnym i tam pracowała, nie wiem, może z 3 lata. Dokładnie w tej chwili nie potrafię powiedzieć. Była redaktorem, przez pewien czas była nawet już potem kierownikiem redakcji naukowej w tym wydawnictwie. I w czasie tej pracy odbywał się pierwszy kongres nauki w Polsce, w tym początku lat 50. I z dziedziny biologii materiały kongresowe były przygotowywane właśnie w tym wydawnictwie wtedy. I wtedy profesorowie, którzy kierowali tą częścią biologiczną kongresu, mieli kontakt z moją mamą, która redagowała te materiały. I konsekwencją

tego było, że później ją wyciągnęli, można powiedzieć, z wydawnictwa do Polskiej Akademii Nauk, do tworzącego się wtedy pierwszego w Polsce ośrodka nauk ekologicznych. To się nazywało Zakład Ekologii, samodzielny zakład w pewnym sensie na prawach instytutu, ale bez nazwy instytutu. Przez wiele lat funkcjonował jako samodzielny w strukturze Polskiej Akademii Nauk, samodzielny Zakład Ekologii. I mama została tam ściągnięta do tego, żeby zorganizować wydawnictwa ekologiczne. Te pierwsze czasopisma ekologiczne, które właśnie w tym zakładzie powstały, to ona je organizowała. I jej praca w tymże zakładzie, gdzieś tak od połowy lat 50. do 1971 roku tam pracowała, była w dużym stopniu pracą właśnie taką redakcyjno-wydawniczą, a praca naukowa zaczęła się dopiero po pewnym czasie. Musiała o to bardzo mocno walczyć, bo szefostwo instytutu uważało właśnie, że ściągnęli ją do tej pracy wydawniczej, no to się ma nią zajmować. A ona miała jednak ambicje naukowe i bardzo chciała coś zacząć robić. I zaczęła się walczyć o możliwość zrobienia doktoratu. Nie było to łatwe. Ona była specjalistką, ponieważ skończyła rolnictwo, a oprócz tego botanikę, to ona sobie wybrała jako specjalność naukową i pracując w tym zakładzie ekologii, to wybrała sobie dziedzinę, która jest jakby na pograniczu tych wszystkich nauk. Czyli ekologię, można by powiedzieć chwastów, w sensie takim popularnym, ale w sensie naukowym to się nazywa roślinność synantropijna, czyli ta roślinność, która towarzyszy człowiekowi na terenach rolniczych, czyli chwasty pól uprawnych, przydroży i ich ekologia. I w ten sposób chciała wykorzystywać swoje wykształcenie rolnicze, botaniczne, no i tą wiedzę ekologiczną, którą zdobywała pracując w tym zakładzie. Kiedy oprócz tego, że organizowała te czasopisma, to zajęła się redakcją naukową pierwszych w Polsce wydawanych dużych i to już wydawało PWN, czyli Państwowe Wydawnictwo Naukowe. I ona była redaktorem naukowym zbiorowych tłumaczeń pierwszych podręczników ekologii, które w Polsce wychodziły. No i udało jej się jakoś wywalczyć tą możliwość pracy naukowej w ten sposób, że w czasie urlopu, w niedzielę jeździła po polach, po Mazowszu, bo to było najbliżej od Warszawy, zbierając materiały i robiąc swoje badania. No i przygotowała pracę doktorską, którą obroniła na swoim macierzystym Uniwersytecie Poznańskim. I od momentu, jak udało jej się obronić właśnie ten doktorat, właściwie zrobiony pokątnie, to jednak zmieniono podejście do niej w zakładzie i jednak już zaczęła się liczyć, że pracuje również naukowo. Wtedy się zajęła tematyką, którą się zajmował cały zakład. To były takie badania na temat produkcji pierwotnej, takie bardzo typowo ekologiczne badania, prowadziła je przez kilka lat. Potem był taki moment, kiedy zakład ekologii w ramach takiego procesu, który się w PRL-u odbywał, deglomeracji pewnych instytutów, miał zakład ekologii wyprowadzić się z Warszawy i się wyprowadził do Dziekanowa Leśnego pod Warszawą, na skraju Puszczy Kampinoskiej. Tam była stacja naukowa tego zakładu, ale później zbudowano tam obiekty dla tego zakładu, przemianowano go już na instytut, bardzo się powiększył, ale moja mama nie chciała się dać zdeglomerować. Z jakiego powodu? Ponieważ w tym czasie jej matka, która z nami mieszkała, czyli moja babcia, była już bardzo starszą, schorowaną osobą i mama po prostu uznała, że ona nie może na cały dzień wyjeżdżać z miasta, bo nie wiadomo, co się tu będzie działo. I wtedy się przeniósła do innego PAN-owskiego instytutu, przeniósła się do Instytutu Geografii i Przestrzennego Zagospodarowania Kraju, do takiego Zakładu Biogeografii. I tam zresztą ją ciągnęto stamtąd już od jakiegoś czasu, ale wtedy się właśnie zdecydowała i wtedy już wyłącznie jej zadaniem były prace naukowe i udało jej się w ramach już nie pokątnych działań, ale działań jakby zgodnych z głównym profilem zakładu, w którym pracowała, przygotować pracę habilitacyjną, bo doktora to obroniła w 1964 roku w Poznaniu, a praca habilitacyjna była bronią w 1976 roku na Uniwersytecie Warszawskim. I pracowała do końca 1985 roku w tymże instytucie, od 1 stycznia 1986 poszła na emeryturę, ale pracowała dalej naukowo. Ostatnie prace naukowe, które przygotowała wyszły w 2001 roku. Natomiast od momentu... mama nigdy nie należała do partii, nie należała do żadnych organizacji, zawsze mówiła, że jedyna organizacja, do której ona się zapisała i w ogóle miała jakikolwiek sens,

to było harcerstwo. I nie ma zamiaru się do niczego więcej zapisywać. Natomiast z tym harcerstwem, no w pewnym sensie się skończyło, jak wyjechała z Afryki, ale się okazało po latach, że się nie skończyło tak całkiem. To znaczy po tak zwanej odwilży Gomułkowskiej, czyli po październiku 1956 roku, mama dała się namówić Zofii Zakrzewskiej do włączenia się z powrotem w działalność harcerską, jak harcerstwo po tak zwanym Zjeździe Łódzkim zaczęło odradzać. Dała się namówić znowu na taką funkcję wizytacyjno-programową. I zaczęła jeździć na zgrupowania obozów harcerskich i brać udział właśnie w takich jakichś wizytacjach tych obozów, prowadzić jakieś szkolenia. Do końca tego nawet w szczegółach nie znam. Natomiast wiem, że jeździła, bo nawet mojej siostry ciotecznej obóz między innymi w którymś momencie wizytowała. Przy okazji opowiadała harcerzom o tej harcerskiej Afryce, ale w którymś momencie około chyba roku 1960 albo 1961, to jest mi trudno powiedzieć, wyłączyła się z tego. Przestała jej się to podobać. To było prawie równoległe z tym, kiedy ja wstąpiłam do harcerstwa, bo ja wstąpiłam w roku 1960 równo. I jak ja byłam na pierwszym obozie harcerskim w 1961 roku, to mama przyjechała również na nasz obóz. Ja byłam gdzieś na Kurpiach. Natomiast mama wtedy na Mazurach wizytowała obozy, ale też przyjechała i do nas, i opowiadała. Więc jeszcze w 1961 roku jeszcze na jakichś wizytacjach była. Ale jak już byłam w 1962 roku na obozie harcerskim, to już na pewno ona była wyłączona z tego. Natomiast ja jeszcze byłam w harcerstwie. Natomiast w roku 1963 naszej drużynowej odebrano prawo prowadzenia drużyny, ponieważ ktoś doniósł, że myśmy na obozie składali, a właściwie młodszy ode mnie o chyba rok czy dwa, składali przyrzeczenie harcerskie. Zresztą tak samo jak i w tym 1961 roku ja, ale wtedy jeszcze nikt nie doniósł. Ale później to doniesiono, że myśmy składali na tekst przedwojenny. I odebrano jej prawo prowadzenia drużyny. Ona się nazywała Danuta Kącka chyba. Zawsze się zastanawiam, czy ja dobrze nazwisko wymawiam, ale tak się chyba nazywała. No i po tym odebraniu, tam przez pewien czas prowadziły drużynę te przyboczne, po czym przyszła wiadomość, że my mamy zmienić chusty harcerskie na czerwone, a mieliśmy zielone z cieniutkim czerwonym paseczkiem. No i w tym momencie powstała w gronie starszyny drużyny decyzja, że drużynę rozwiązujemy. I drużyna została w szkole, do której ja chodziłam, czyli w szkole podstawowej numer 40 na ulicy Hożej, blisko Kruczej, została rozwiązana. Starszyna w hufcu podpisała rozwiązanie drużyny w 1963 roku. Także jak ja w 1963 roku w jesieni poszłam do liceum, zresztą do Liceum Batorego w Warszawie, to ja już wiedziałam, że moje harcerstwo się skończyło. W Batorym się już nawet nie interesowałam, czy jest. Potem się dowiedziałam, że nie ma. Ale nawet na początku się tym nie interesowałam. Bo ja już czułam, ja wiedziałam, bo mama bardzo mało mówiła, ale mówiła, że: „Wiesz, to już jest nie tak, jak powinno być”. I nie chciała jakby mówić nawet, co jej się nie podoba, dlaczego jej się coś nie podoba, co się zaczęło. No ale wiadomo, że ten 1963 rok to był w pewnym sensie koniec tego popaździernikowego harcerstwa. I to się dla niej wtedy skończyło. Natomiast pewien renesans związków z harcerstwem, oczywiście zaczął się po przełomie, który nastąpił w 1989 roku, ponieważ wtedy zaczęły się... mama się już nie włączyła w żadną pracę harcerską, ale zaczęły być jakieś kontakty jej z harcerstwem. I to głównie z tym harcerstwem poza granicami kraju. To wtedy się zaczęły nawiązywać takie bliższe kontakty. I w 1994 roku została zaproszona przez swoich dawnych współpracowników, harcerzy do Wielkiej Brytanii na Wielki Światowy Zjazd [popr. Zlot] Polskiego Harcerstwa poza Granicami Kraju w Nottingham. Pod Nottingham, bo nie w samym mieście. W Nottingham I tam miała możliwość spotkania się z wieloma z tych instruktorów, z tej grupy instruktorskiej, która przyjechała wtedy do Afryki i z wieloma swoimi dawnymi harcerzami i uczniami. To była... wtedy się... mogła z nimi pierwszy raz spotkać i jakby odnowić z dużą grupą z nich bardzo serdeczne kontakty. Ponieważ z pojedynczymi osobami, z dawnymi uczniami i harcerzy z czasów afrykańskich, ona kontakty miała jeszcze nawet w czasach PRL-u, bo czasem z tych, którzy byli poza granicami Polski, czasem ktoś przyjeżdżał do Polski, niektórzy potrafili się gdzieś dowiedzieć, jakoś znaleźć

i na przykład odwiedzali mamę. Dowiadywali się po jakimś sznureczku kontaktów, dowiadywali się gdzie mama jest i mamę odwiedzali. Niektórzy pisali, oczywiście to już w późniejszych latach, bo początkowo tych kontaktów było mało. Tu w Polsce z tymi, którzy wrócili do Polski, też troszkę miała kontaktów, chociaż tych kontaktów nie było dużo na początku, w czasach prawdziwego PRL-u, ale z niektórymi osobami była w kontakcie. Ale po tym 1989 roku te kontakty się zrobiły intensywne, no i ten zlot pod Nottingham niesamowicie przeżywała, bo było to dla niej ogromnym przeżyciem móc uczestniczyć w tym wielkim zlocie. Następny... niestety rok później, miała bardzo trudną zdrowotną sytuację, bardzo ciężką operację. W następnym roku kolejną ciężką operację, już podupała wtedy bardzo na zdrowiu, bo do tego momentu, do tego 1994 roku, a wtedy miała 79 lat, więc już nie była młodą osobą, to była bardzo sprawna fizycznie, tak jak ludzie, którzy często mają o 20 lat mniej. Natomiast niestety ta choroba, która wtedy przyszła, zrównała jej wiek z metryką, fizyczny wiek z metryką, a nawet jeszcze dalej i zaczęły się problemy. Ale pomimo tego, w 1997 roku zdecydowała się na wyjazd do Wielkiej Brytanii, bo tam ją zapraszali ci uczniowie, ponieważ miało się odbyć 50-lecie matury z Tengeru, z Afryki, jej uczniów. I oni strasznie chcieli, żeby ona w tym uczestniczyła. I zdecydowała się, z tym, że ja wtedy się nie zdecydowałam pozwolić jej jechać samej. No i pojechałyśmy obie, z tym, że ponieważ nie było nas stać na to, żebyśmy obie poleciały samolotem, to koncepcja była taka, że mama poleciała samolotem z torebką i z małą siatką, no można powiedzieć symboliczną szczotką do zębów, ja ją odwoziłam na lotnisko, a ja pojechałam na dworzec centralny i z całym bagażem na dwie osoby na dwa czy trzy tygodnie, już nie pamiętam, wsiałam do takich autobusów, co to się 20-kilka godzin jechało do Wielkiej Brytanii i zajechałam. Mieszkałyśmy u mamy uczennicy w Londynie, przyjechała też z Polski inna z tych uczennic mamy takich najbliższych, byłyśmy wtedy razem, zjazd na tę maturę odbywał się w Fawley Court, w takim ośrodku polskim. I wtedy właśnie na tym zjeździe ta książeczka, którą pokazywałam, została właśnie, można powiedzieć, promocja tej książeczki, ona wtedy została wydana, została wydana przez Koło Harcerki i Harcerzy z lat dawnych w Londynie. I także wszyscy ci, co uczestniczyli w tym zjeździe maturalnym i w tych spotkaniach, które się odbywały oprócz tego zjazdu, to wtedy mogli to dostać. Myśmy jak wróciliśmy, to myśmy to przesłały do różnych ważniejszych bibliotek, to był mały nakład do różnych ważniejszych bibliotek, oczywiście do komendy harcerskiej zarówno ZHP jak i ZHR-u, bo mama uważała, że trzeba traktować po równo obie organizacje i zawsze starała się tak to, no żeby... strasznie jej zależało na tym... Uważała, że to nie jest nic złego, że są różne, ale żeby tego nie wartościować, że to jest lepsze, tamto gorsze, to starała się zawsze, że jeżeli coś przekazać, to i tu, i tu. I mówi, że to się z czasem dotrze. Tak że wtedyśmy pojechały. I co jest może ciekawe o tyle, że to już były takie lata, że ja już od wielu lat byłam wciągnięta, można powiedzieć, w śledzenie tych mamy losów. Ponieważ w czasach PRL-u, w ogóle jak byłam małym dzieckiem, to ja w ogóle nic sobie nie zdawałam sprawy, że ona ma jakieś specjalne, jakieś unikatowe w jakimś sensie losy, że była kimś ważnym. W ogóle to do mnie nie docierało. Ja tak o Afryce, to zaczęłam się tak więcej dowiadywać pod koniec szkoły podstawowej, w średniej, a o Syberii nic. Kiedyś podsłuchałam jakiejś rozmowy ciotek w Poznaniu, coś mówiły o mamy zsyłce, ale ja nic... ze mną się nigdy nie rozmawiało o tym. Dopiero jak byłam w latach studenckich, a moje lata studenckie to jest przełom lat 60. i 70. Dopiero to były lata, kiedy mama na niektóre moje pytania zaczynała odpowiadać dotyczące jej takich trudnych losów. Długo bardzo nie chciała nic mówić. Nawet wiele osób właśnie w rodzinie, takiej dalszej rodzinie miało do niej żal, miało do niej wręcz pretensje, że ona nie opowiada. Dzisiaj to ja ją rozumiem. Więc ten nasz wyjazd do Wielkiej Brytanii był... ponieważ pojechałyśmy ewidentnie obie, to chciałyśmy obie go wykorzystać. Nie tylko do tych mamy spotkań z jej dawnymi uczniami i harcerzami, ale chciałyśmy też wykorzystać, można powiedzieć, do naszych wspólnych badań mamy przeszłości. To były już lata, kiedy ja wciągnęłam się w sprawy dotyczące historii mamy i nie tylko

mamy, również w szerszym znaczeniu rodziny. Od początku, właśnie po tym przełomie, jak mówiłam, 1989 roku, kiedy mama się już... te kontakty szersze zaczęła nawiązywać z tymi swoimi dawnymi Afrykańczykami i nie tylko. W 1991 roku powstała taka organizacja, to była Fundacja Archiwum Fotograficzne Tułaczy. To zakładali mamy dawni uczniowie i nie tylko bezpośrednio jej uczniowie, ale ci, którzy przeszli podobne losy. I mama im pomagała założyć tę fundację, liczyła się do grona tak zwanych fundatorów. I ta fundacja miała za cel upamiętnienie losów tak zwanych tułaczycy dzieci, czyli tych dzieci, które wyszły ze Związku Radzieckiego z armią Andersa. I oni bardzo lgnęli do... ci tacy blisko z mamą związani, a potem się różni inni z mamą zaprzyjaźnili. Potrzebowali jej jakby wsparcia, takiego merytorycznego, co można zrobić. Ponieważ grono to w większości, to były dawne te dzieci. Natomiast z osób dorosłych, które w czasie zsyłki i w czasie tej peregrynacji po całym świecie, to z osób, które wtedy były dorosłe, które były członkami kadry pedagogicznej i harcerskiej, bardzo niewiele osób wróciło do Polski. Bardzo niewiele. Niektóre nauczycielki szkół podstawowych wróciły, większość osób nie wróciła do Polski. A grono to zostało jakby w pewnym sensie skrzyknięte czy zachęczone do tej działalności przez człowieka, który absolutnie nie miał nic wspólnego z tymi losami. On ich nie przeszedł, ale był to profesor, znaczy on żyje, przepraszam, jest to profesor, profesor łódzkiej szkoły filmowej, reżyser filmów dokumentalnych, profesor Marek Nowicki. On w jakichś swoich spotkaniach na Żoliborzu, ponieważ jest mieszkańcem tej dzielnicy, spotkał najpierw jedną, potem drugą, potem jakąś trzecią osobę, które miały takie losy. On się zapoznał, jak to on opowiadał, z szufladami, co oni mają, jakieś zdjęcia, jakieś coś. I on doszedł do wniosku, że to trzeba wyciągnąć, założyć tę fundację i jakby nadać kierunek ich działania. A z punktu widzenia wsparcia merytorycznego, same te dzieci kierowały się do mojej mamy. I w pewnym sensie profesor Marek Nowicki i moja mama pociągnęli od strony merytorycznej tą działalność. I w ramach tej działalności została przygotowana w 1993 roku pierwsza wystawa, która była w Muzeum Niepodległości w tym pałacyku w Alei Solidarności, co było dla tych ludzi w pewnym sensie miejscem symbolicznym, że Muzeum Niepodległości i ta ich wystawa o tułaczycy dzieciach, której wielki transparent wisiał na balkonie tego pałacyku, widoczny z tramwaju, jak się przez Plac Bankowy przejeżdżało, że ona się odbywa w pałacyku, gdzie przedtem było Muzeum Lenina. To było wręcz takie symboliczne pokazanie zmiany. I że wreszcie pierwszy raz w Polsce można publicznie ten problem przedstawić. I była ta wystawa. Ja wtedy wciągnęłam się to środowisko, bo ja z zawodu, z wykształcenia jestem geografem. Wtedy jak się zaczęły przygotowania do wystawy, to mama mi o tym opowiadała, bo ona chodziła, spotykała się z tym swoim środowiskiem. Ja miałam swoje zajęcia. Ale z tych rozmów ja od razu zaczęłam reagować. No tak, ale to trzeba pokazać na mapie, gdzie to było, jak to było. No i wtedy się w to wciągnęłam. Mama mówi, wiesz, no ale to musiałabyś ty przyjść i im to wytłumaczyć, jak ktoś jakoś to zrobi. Ja mówię, dobrze. I mnie to wtedy wciągnęło. I zrobiłam mapy do tej wystawy. Zresztą robiłam już taką jedną mapę kilka lat wcześniej, kiedy taki dzisiaj kolega, mogę powiedzieć, wtedy to był młody harcerz, dużo młodszy ode mnie, ale który organizował jeszcze za PRL-u taką pierwszą wystawę na temat historii harcerstwa, która się odbyła w Muzeum Woli. Ja nie pamiętam, który to był rok. Tomasz Kuba Kozłowski. To wtedy na tę wystawę zrobiłam taką mapę pierwszy raz, która pokazała te osiedla w Afryce. To było, ja nie wiem, 1986 czy któryś, ja nie pamiętam, kiedy to było dokładnie. No i do tej wystawy do Muzeum Niepodległości, które już Fundacja organizowała, Fundacja Archiwum Fotograficzne Tułaczy, zrobiłam im wszystkie mapy. Poza tym pomagałam i razem z profesorem Markiem Nowickim przygotowaliśmy napisy do tej wystawy. I ja, ponieważ pracowałam wtedy już w takim małym pozarządowym instytucie, zajmując się tą tematyką ochrony środowiska, ale był to mały instytut utworzony zaraz po przełomie, który miał wsparcie amerykańskie. Myśmy mieli komputery. Mało kto jeszcze wtedy w 1991-92 roku pracował na komputerach, a ja już miałam tą możliwość i tą konieczność w pewnym sensie. W związku z tym

poprosiłam kierownictwo mojego instytutu, czy mi pozwolą i pozwolili mi po godzinach przygotowywać wszystkie napisy, które do tej wystawy trzeba było zrobić. I to mnie bardzo jakoś związało też z tym środowiskiem. Poznałam wtedy wielu ludzi, którzy niekoniecznie przeszli przez Afrykę, przeszli przez Indię, przeszli przez Bliski Wschód, Meksyk, Nową Zelandię i to całe to środowisko. I potem przyszło... po tej wystawie z 1993 roku mamy wyjazd w 1994 do Anglii. To wszystko były takie duże wrażenia, przeżycia. I myśmy jadąc w 1997 roku do Anglii, ja jechałam głównie, w pierwszym momencie myślałam o bezpieczeństwie mamy, że ona jest w takiej trudnej zdrowotnie sytuacji, no i miała już tych swoich, prawda, sporo lat, bo już miała 82 lata, że tam jadę dla bezpieczeństwa. Ale w którymś momencie jeszcze przed wyjazdem myśmy doszły do wniosku, że to trzeba wykorzystać. Była już mowa o tym, że po wystawie będzie przygotowywać fundacja jakieś wydawnictwo albumowe na bazie tego, co było zgromadzone do tej dużej wystawy. Ja za chwilę pokażę parę zdjęć z tej wystawy. I myśmy postanowiły, że my pójdziemy do Instytutu i Muzeum Sikorskiego w Londynie. I pójdziemy do archiwów brytyjskich, które są pod Londynem w Kew, tak jak jest ogród botaniczny Kew Garden, ale również w tym Kew jest wielkie archiwum brytyjskie. I że my sobie popracujemy po prostu w archiwach i będziemy szukać materiałów do właśnie tej... zobaczyć do jakich materiałów można dotrzeć, które pokazują tą... Mamie głównie wtedy zależało na Afryce. Ona jakoś bardzo nie chciała ruszać tematu syberyjskiego, ale na Afryce jej zależało. Ona wtedy myślała o tym, że oprócz tej malutkiej książeczki, którą napisała na prośbę harcerzy o tym, jak to się stało, że ona była tą komendantką i na czym polegało to prowadzenie tej pracy harcerskiej w Afryce, to ona myślała, że może ona jeszcze coś więcej napisze i że w związku z tym dobrze by było poszukać jakichś materiałów. No i tak się złożyło, że myśmy prawie dwa tygodnie chodziły codziennie, jak do pracy, do tego Instytutu i Muzeum Sikorskiego i szukałyśmy w katalogach, potem w teczkach, które nam przynoszono, różnych materiałów, które mogłyby coś rozszerzyć dokumentację czy wiedzę naszą na ten temat. No i co znalazłyśmy, co mama uznała za... Bo na ogół to się odbywało tak, że ja to czytałam głośno, a ona mówiła: „To odłóż, a to odłóż na kserowanie. To odłóż, a to odłóż na kserowanie”. No i potem nam tam pokserowali trochę materiałów i tak samo było też w tym państwowym archiwum. Tak że udało nam się trochę znaleźć, no ale niestety mama już nie dała rady napisać czegoś większego. Ona pisała swoje wspomnienia już w tamtych latach właśnie po tym 1997 roku, ale no i będąc już coraz słabsza nie miała dużo na to siły. Ale sporo, sporo, sporo tam ponotowała, ale bardzo się cieszyła, że ona ma te pewne rzeczy. Natomiast ja uznałam, widząc właśnie to, że ona nie bardzo ma już siły na to, żeby napisać coś większego, to próbowałam ją namówić na to, żeby zgodziła się na taki większy wywiad, ponieważ ja miałam takie różne kontakty i wiedziałam o działalności jeszcze za PRL-u Archiwum Wschodniego Ośrodka KARTA. I miałam duże zaufanie do tego środowiska, w związku z tym próbowałam mamę namówić, ale ona się bardzo długo nie chciała dać namówić. Udało się to dopiero w 2008 roku. To już miała 93 lata. I chyba tylko dzięki temu, że pani... szefowa Archiwum Historii Mówionej, wtedy już takiego połączonego tego archiwum, które już prowadziły wspólnie Ośrodek KARTA z Domem Spotkań z Historią, co zresztą ten Dom powstał z inicjatywy Ośrodka KARTA, pani Katarzyna Madoń-Mitzner wyznaczyła do tego wywiadu z moją mamą fantastyczną dziewczynę. I chyba tylko dzięki temu, jakim ona była człowiekiem, udało się, że rzeczywiście ten wywiad z mamą był jakiś sensowny i był naprawdę bogaty w treść. Alinka Szamruchiewicz, która ten wywiad przeprowadzała, przychodziła przez wiele, wiele dni, po 2-3 godziny rozmawiając z mamą. Najpierw mama opowiadała tak luźno, a potem odpowiadała na wiele pytań. Mówiła mi w przerwach pomiędzy tymi kolejnymi częściami, że to jest tak fantastyczna dziewczyna, tak wykształcona, z taką kulturą, że gdyby nie to, to mama by pewnie po pierwszych paru minutach to przerwała. Natomiast, że wycucie tej dziewczyny, jakaś taka, myślę trochę, że wschodnia wrażliwość. Alinka pochodzi z Białostocczyzny. To spowodowało, że mama się zgodziła i zgadzała się kolejno, kolejno, kolejno.

Jest to jeden z najdłuższych wywiadów, jakie to Archiwum przeprowadziło. Jest podobno tylko kilka, może troszkę dłuższych od tego wywiadu, ale należy on do najdłuższych. Następnie sami się do nas zgłosili historycy z Krakowa, którzy nagrali drugi wywiad z mamą, krótszy, on to chyba ze cztery godziny tylko, z Centrum Dokumentacji Zsyłek Wypędzeń i Przesiedleń w Krakowie. I jeszcze trzeci był wywiad, nieduży, chyba dwie godziny, dla Muzeum Kresy Syberia. To jest takie muzeum wirtualne, założone przez środowisko, ta inicjatywa podjęta przez środowisko dzieci, wnuków, Sybiraków, głównie przebywających poza granicami kraju. Natomiast z tej działalności mamy w tym środowisku Fundacji Archiwum Fotograficzne Tułaczy, to po tej wystawie powstały dwa duże wydawnictwa albumowe. Jedno się nazywa „Tułacze dzieci”, a drugie „Polska Szkoła na Tułaczach Szlakach”. I mama była tą osobą, która dokonywała jakby pierwszej redakcji tekstów, ponieważ albumy powstały jako wspomnienia tych dzieci. Z całego świata przysyłali takie swoje wspomnienia, co zapamiętali, co potrafili napisać. Większość tych osób, które pisała, nie miała doświadczenia w pisaniu. Ich życie się inaczej układało. W związku z tym mama była tą osobą, która w pewnym sensie kwalifikowała te teksty, co się nadaje do publikacji, co nie. Co jest na przykład bardzo źle napisane, ale ma bardzo ważną treść. I prowadziła... redagowała trochę, prowadziła rozmowy z tymi autorami, żeby podnieść to, bym powiedziała, poziom tych tekstów. Jedni to znosili lepiej, inni znosili to gorzej, ponieważ nie byli doświadczeni, jeśli chodzi o współpracę z redaktorami. Ale poza tym przygotowywała takie różne teksty bardziej o charakterze ogólnym do tych wydawnictw albumowych. No bo to trzeba było, oprócz tego, że ktoś wspomina swoje własne losy z danego miejsca, to trzeba najpierw też przedstawić, jak te osiedla wyglądały. I napisała do pierwszego albumu taki duży tekst o roli harcerstwa w wychowywaniu tych dzieci w tej trudnej sytuacji. Tak że to był jej bardzo duży ten, a poza tym stanowiła też taki punkt odniesienia w jakimś sensie dla środowiska tych ludzi. Dla mnie to środowisko tych dawnych mamy uczniów i harcerzy od początku było czymś takim niesamowitym, dlatego że mama o nich mówiła zawsze, jeszcze byłam małym dzieckiem, a się ktoś pierwszy pojawił, czy ktoś napisał taki z tych ludzi, mówiła: „O, moje dzieci”. Ja jako dziecko mówiłam: „Jakie twoje dzieci? Ja jestem twoim dzieckiem, jak to jest możliwe?” „Moje dzieci z Afryki”. Więc to też powodowało, że niektóre z tych dzieci stały się dla mnie ludźmi bardzo bliskimi i tak jakby prawie członkami rodziny. Dzisiaj jest już ich bardzo niewiele, z niewieloma można mieć kontakt, ale na przykład jedna bardzo mi bliska osoba z mamy uczennic afrykańskich to jest siostra Maria Goretti Podoska z Lasek, dawna generalna tego zakonu, przełożona różnych domów tego zakonu, wspaniała osoba, która żyje do dzisiaj w Laskach, nawet miała możliwość uczestniczenia parę dni temu w beatyfikacji siostry Elżbiety Róży Czackiej, co było dla całych Lasek wielkim przeżyciem. Ci ludzie stali się mi bardzo bliscy i przez to, że oni byli tak bliscy mojej mamie, to ja się stopniowo wciągałam w to środowisko coraz bardziej i coraz bardziej się interesowałam tymi tematami. I zaczynałam... oprócz tego, że zaczęłam się interesować również szerzej historią mojej rodziny i poszukiwać, jeździć po różnych urzędach, kościołach, szukać różnych dokumentów, jeździć do różnych dalszych ciotek, skanować jakieś materiały, przepytawać, to również cały czas starałam się być w kontakcie z tym środowiskiem, a w 2013 roku wciągnęli mnie jakoś tak bardziej formalnie do zarządu tej fundacji i staram się im przez te lata pomóc utrzymać jeszcze tę organizację, ponieważ to środowisko jest już w coraz bardziej zaawansowanym wieku i już nie mają na to siły, ani licząc tego, że po prostu bez przerwy odchodzą. W tym roku już byłam co najmniej na czterech pogrzebach z tego środowiska, ostatni wczoraj. Tak że pomagałam właśnie dwóm osobom z tego środowiska przy opracowaniu ich wspomnień, tej siostrze Marii Goretti z Lasek, to pomagałam jej przepisując różne materiały, skanując zdjęcia, przygotowując takie opracowanie, gdzie ona swoje wspomnienia zapisała i od lat pomagając drugiej takiej pani, która też była w Afryce, ale w innym osiedlu, nie w Tengeru, tylko w Rodezji, w Bwana M’Kubwie, pani Marii Gabiniewicz. Staram się jakoś pomagać

w kontaktach tym ludziom, to jest w tej chwili dosyć istotna część mojej działalności i staram się i dla siebie, i w pewnym sensie dla nich uczestniczyć w różnych takich wydarzeniach istotnych dla tego środowiska. To znaczy w takich uroczystościach jak na przykład 17 września uroczystości pod Pomnikiem Poległym i Pomordowanym na Wschodzie, mszę z tej okazji w katedrze polowej, czy teraz jak kilka dni temu pojechałam, żeby wziąć udział w uroczystościach otwarcia Muzeum Pamięci Sybiru w Białymstoku. Staram się być w tych miejscach i potem móc na przykład nie tylko być, bo uważam, że tam się powinno być, ale też móc tym osobom, które już nie mogą w tym uczestniczyć, a dla nich jest to ważne, żeby móc im o tym opowiedzieć, pokazać czasem zdjęcia, bo to jest dla nich ważne. Dla nich jest bardzo ważne, żeby te następne pokolenia wiedziały i pamiętały o ich losach. To było coś, co było dla tego środowiska tych dawnych tułaczy i ich dzieci, takie niesamowicie ważne. Oni w ogóle zaczęli się gromadzić po tym 1989 roku z jednej strony jakby z powodu takiej potrzeby nawiązania kontaktów i znalezienia ludzi, którzy przeszli te same losy i móc z nimi przypominać i wspominać te losy, a z drugiej strony oni mieli taką wielką potrzebę, żeby inni się o tym dowiedzieli. Moja mama na przykład reagowała inaczej, ona wcale tego nie chciała. Ją trzeba było bardzo mocno do tego namawiać, żeby się w ogóle na to zgodziła. Natomiast to środowisko miało bardzo dużą potrzebę i dla nich miało ogromną wartość, żeby właśnie ich gdzieś uhonorowano, żeby pokazano ten problem, żeby... oni bardzo mocno jakoś czuli się przez te czasy PRL-u pokrzywdzeni i niedowartościowani, jakby bardzo źle to znosili. Moja mama jakoś, nie wiem, ona miała taką postawę z jednej strony bardzo harcerską, z drugiej strony była przyrodnikiem i ona pewne rzeczy traktowała, że albo nawet jak jest trudno, to nie należy tego pokazywać i roztkliwiać się nad sobą, opowiadać, w ogóle to jest wręcz nieprzyzwoite, uważała, a z drugiej strony jako przyrodnik, biolog, różne rzeczy rozumiała jako pewne naturalne procesy i ona nie chciała o tym mówić, bo ona uważała, że... Ona też miała bardzo taki stosunek do odznaczeń, do takich... bardzo państwowo traktowanych upamiętnień, bardzo negatywny. Ona tego nie chciała. Była specyficznym człowiekiem. Nawet w tym środowisku niektórzy nie mogli tego kompletnie zrozumieć, ale ona po prostu taka była. Ona miała ogromną skromność taką osobistą i tak... no, uważała, że się z pewnymi rzeczami nie należy obnosić. Natomiast kiedy przy otwarciu tej wystawy „Tułacze Dzieci” w 1993 roku dostała na wniosek tych uczniów medal Komisji Edukacji Narodowej, to ogromnie sobie go ceniła. Uważała, że to jest coś ważnego. Ceniła sobie też swoje odznaczenia kompletnie niepaństwowe, które dostała od przyjaciół ekologów i od środowiska botaników. Dostała na swoje 90-lecie medal, który ufundowali jej przyjaciele ekolodzy. To jest kompletnie prywatny medal, którym oni ją odznaczyli „90 lat dla przyrody i ludzi” z kwiatem maku, bo polny mak był najukochańszym kwiatem mojej mamy. Teraz z Białegostoku, z Muzeum Pamięci Sybiru, przywiozłam taką małą płytkę z magnesem, taki obrazek, który ludzie na lodówki naklejają albo gdzieś, gdzie jest ten czerwony mak, a jako ich gałęzie, jego gałęzie jest drut kolczasty. To jest bardzo... jakby łączy się jedno z drugim. A drugie, to środowisko botaników w 1997 roku odznaczyło ją medalem Polskiego Towarzystwa Botanicznego imienia profesora Zygmunta Czubińskiego, poznańskiego botanika z numerem 1. I to były dla niej rzeczy najcenniejsze, ponieważ dla niej te jej rośliny, ta cała praca naukowa była bardzo ważna. Jej współpracownicy, uczniowie to docenili, to było dla niej ważne. Ona bardzo nie chciała żadnych odznaczeń państwowych, nawet się odgrażała, że jak będą, to odmówi przyjęcia. Bo uważała, że wszystkie odznaczenia mają zawsze bardzo charakter polityczny, nienawidziła polityki. Natomiast to, że środowisko naukowe ją doceniło i w swój sposób, to to sobie ceniła bardzo i że uczniowie ją docenili. Mama żyła bardzo długo. Żyła do 2018 roku. Wcześniej, w 2015, skończyła 100 lat. Jak odeszła, miała 103 lata. Ostatnie 2,5 roku były ciężkie, chorowała już bardzo. Natomiast do 94 roku życia samodzielnie wychodziła z domu. Chodziła na spacer, robiła nawet małe sprawunki, dawała radę. Potem już wychodziła pod opieką, bo już nie mogła sama, ponieważ zaczęła tracić wzrok. Od 1997 roku do 2009 stopnio-

wo traciła wzrok, aż do pełnej praktycznie rzecz biorąc utraty wzroku. Ale wzrok utraciła już tak kompletnie w 2009 roku i wtedy już... właśnie wtedy miała te 94 lata i już absolutnie nie dało się, już nie mogła sama wychodzić z domu, bo to już było po prostu niebezpieczne. Natomiast do tych 100 lat, do 2015 roku wychodziła jeszcze, tylko że już pod moją opieką albo czyjąś inną, ale najczęściej moją. I chodziłyśmy na spacer, w różne w miejscach żeśmy jeździły. I dawała radę. Dopiero wtedy się już, jakieś pół roku po tych setnych urodzinach się załamało jej zdrowie całkowicie. I te 2,5 ostatnie roku to były już bardzo trudne, już chorowała. Natomiast jeśli chodzi o takie, bym powiedziała, nasze wspólne działania na rzecz historii, historii mamy, ale też przy okazji historii rodziny, to udało mi się w 2006 roku, mama miała wtedy 91 lat, udało mi się, że pojechaliśmy we dwie na Ukrainę. Pojechaliśmy, mama jeszcze miała na to na tyle siły, jeszcze widziała, ona już od lat nie mogła czytać, ale jeszcze tak, bym powiedziała, patrzeć w dal i oglądać krajobraz czy większe przedmioty, to mogła. I pojechaliśmy na Ukrainę. To był pierwszy rok, ale chyba i ostatni, pierwszy rok, kiedy mogliśmy razem wyjechać, ponieważ wcześniej nie mogliśmy ze względów rodzinnych, bo były duże kłopoty w naszej rodzinie i myśmy stanowiły oparcie dla osób, które miały duże kłopoty, więc nie mogliśmy sobie na to w ogóle pozwolić. I to był pierwszy rok, kiedy mogliśmy już tylko o sobie decydować. I pojechaliśmy na Ukrainę, żeby przejść trochę szlakami. Ja chciałam, żeby mama mi pokazała, skąd ją wywieźli. Natomiast obie chciałyśmy zobaczyć kilka różnych miejsc, w których mieszkała nasza rodzina na Kresach. A poza tym, jako przyrodnicy, obie, chciałyśmy po prostu zobaczyć ten kraj. I to uważam, że było bardzo cenne, że nam się udało wtedy razem pojechać, bo później to już mama nie miałaby na to siły. A mając te 91 lat, przez niecałe 10 dni wytrzymała w malusieńkim samochodzie Tico ponad 10,5 tysiąca kilometrów, wytrzymała się w samochodzie i dała radę. To było duże osiągnięcie. Natomiast, mówiłam wcześniej, że między jej pierwszym a drugim wyjazdem do Wielkiej Brytanii bardzo ciężko zachorowała. To był 1995 rok, ale wcześniej, pół roku przed tym zachorowaniem, kiedy skończyła równo 80 lat, zabrałam ją na wycieczkę do Włoch, co było jej marzeniem, bo marzyła o zobaczeniu różnych tak zwanych starożytności. I wtedy jeszcze dała radę wejść ze mną aż do krateru Wezuwiusza. Była bardzo mocna do tego 1995 roku. Natomiast to się potem już niestety załamało. I wycieczki, które miałyśmy w planie do Grecji, to już się nie udały. Do Turcji. Ona marzyła o właśnie starożytnościach. Jej zainteresowania były przede wszystkim botaniczne. Od małego dziecka, można powiedzieć, że mając chyba 3 lat już była zadeklarowanym botanikiem. Oczywiście wykazując to jako małe dziecko w sposób taki trochę barbarzyński, bo wszystkie kwiatki, które się na jej drodze spotykały, to musiała je zerwać i bardzo mocno do siebie przytulić. I była podobno postrachem w Krakowie, w okolicznych ogrodach. Natomiast drugim jej takim zainteresowaniem ogromnym to była sztuka starożytna i w ogóle sztuka. Tak że była osobą, która mnie nauczyła od małego dziecka chodzenia po muzeach i czytania o starożytności. Sama w gimnazjum wybrała jako przedmiot dodatkowy, taki nadobowiązkowy – historię sztuki i zawsze się tym interesowała. Tak że to były jej zainteresowania. To były kwiaty, krajobrazy, piękne obrazy, sztuka starożytna. To było coś, co ona przeżywała i ten... Poza tym to była ta miłość jej, to były te dzieci, a z drugiej strony jej takim... wręcz tragedią było to, że jej nie pozwolono w PRL-u uczyć młodzieży, bo to jej się wydawało najważniejsze i to do czego była powołana. Odeszła 14 lutego 2018 roku i w jej pogrzebie uczestniczyło bardzo dużo osób. Pogrzeb był z asystą harcerską ZHR-u i z obecnością delegacji harcerskiej z Londynu, z naczelnictwa, byłej naczelniczki polskiego harcerstwa poza granicami kraju. Trochę ponad pół roku po jej śmierci dostałam wiadomość z Poznania, że Uniwersytet Poznański odznaczył mamę specyficznym swoim medalem, też jednym z absolutnie pierwszych przyznawanych. To się nazywa Alumno Bene Merenti, jest to medal dla absolwentów tego uniwersytetu, którzy czymś specjalnym się odznaczyli i jakby w pewnym sensie rozstawiali imię tego uniwersytetu. Uroczystość w Poznaniu była dla mnie naprawdę niesamowita, ponieważ to się przekształciło,

to wręczenie mnie tego medalu pośmiertnego dla mamy przekształciło się w takie spotkanie ku czci mamy, które zrobili botanicy z całej Polski, którzy zjechali się w ogromnej liczbie i wielu z nich dzieliło się swoimi też wspomnieniami dotyczącymi współpracy. W tej chwili już nie pamiętam, czy to jeszcze przed spotkaniem w Poznaniu, czy bezpośrednio po nim, ukazało się w takim czasopiśmie Polskiego Towarzystwa Botanicznego duży artykuł taki wspomnieniowy profesora Jacka Herbicha z Gdańska, który napisał ogromne wspomnienie o mojej mamie. Jego bratanica jest autorką książki, którą wydało wydawnictwo Znak, książki pod tytułem „Dziewczyny z Syberii”. To jest taka książka, w której są relacje dziesięciu kobiet, które przeszły przez Syberię i opowiedziały swoje losy. Dziesiąta relacja, ostatnia w tej książce, to jest relacja mojej mamy, która została opracowana przez Annę Herbich. Natomiast jest to relacja, która jest przygotowana na podstawie tego wielkiego wywiadu, którego moja mama udzieliła dla Archiwum Historii Mówionej, Ośrodka KARTA i Domu Spotkań z Historią. Natomiast myśmy z mamą dostały to do autoryzacji. Ta książka ukazała się w roku 2015, właśnie w momencie, kiedy mama kończyła 100 lat. Co chciałabym zaznaczyć, że do samego końca, do dosłownie na dwa dni przed śmiercią, moja mama była absolutnie w pełni władz umysłowych, z pełną, powiedziałabym, absolutnie jasną pamięcią dotyczącą zarówno spraw historycznych, jak i spraw bieżących. Tak że rozmowa z nią była bardzo łatwa, bo wiele osób w tym wieku, no jest trudność z nimi rozmawiać. Natomiast tu do tej książki, to Anna Herbich przeprowadziła krótki wywiad z mamą, natomiast większość tego, co tu jest, to jest zapis z tego dużego wywiadu. Fragmenty są z tego, co ona nagrywała u mamy, u nas w domu, a myśmy dostały to potem do autoryzacji i tak zostało przygotowane to wspomnienie z czasu syberyjskiego. Natomiast również w tym środowisku botaników ukazał się bardzo duży też artykuł o mamie, o jej działalności botanicznej na mamy 100-lecie, czyli w 2015 roku ukazał się w takim wydawanym w Poznaniu czasopiśmie botanicznym, które jest wydawane w języku angielskim, czyli idzie na zagranicę. I tutaj został przygotowany taki duży artykuł charakteryzujący jej działalność naukową i on jest opatrzony dwoma zdjęciami, które jedno pokazuje mamę w dniu setnych urodzin, a drugie pokazuje to, co jest najbardziej ją charakteryzujące, praca na polu uprawnym, na którym jest bardzo dużo chwastów, głównie właśnie tych maków ukochanych i gdzie ona spisuje całą roślinność synantropijną. Tak że to było takie ważne upamiętnienie jej. Natomiast poza tym, ważne fragmenty jej wspomnień znajdują się w dwóch dużych wydawnictwach, w których brała udział w przygotowaniu, o których mówiłam, te „Tułacze dzieci”, a drugi tom to jest „Polska szkoła na tułaczach szlakach”. To jest pierwszy tom, to jest „Tułacze dzieci”, to jest można powiedzieć plon po tej wystawie, o której mówiłam, wystawa była w 1993, a album się ukazał w 1995 roku. Tu jest wiele jej pracy, można powiedzieć, i również jej wspomnień. I jest drugi album, który się ukazał kilka lat później, który się nazywa „Polska szkoła na tułaczach szlakach”, gdzie ona też wpisała o swojej pracy też pedagogicznej, nie tylko harcerskiej. I to jest drugie, ten album się ukazał w 2004 roku. No i ważne również wspomnienie dotyczące specyficznej sprawy, ale ważne jej wspomnienie jest w książce przygotowanej przez Tomasza Sikorskiego. „Krzyż Harcerski”, właściwie poprawnie, na stulecie, opisującej stulecie Krzyża Harcerskiego. W tej książce jest przedstawiony krzyż harcerski mojej mamy, który miała w Afryce, oraz historia jej krzyża, który dostała na przyrzeczeniu harcerskim, a który straciła na zsyłce w czasie przechodzenia z jednego aresztu do drugiego, z jednego więzienia do drugiego i tam na prośbę autora tej książki opisała całą tę historię jednego i drugiego krzyża harcerskiego. I to są chyba te główne miejsca, gdzie są jej wspomnienia albo informacje o niej, wspomnienia o niej.